



O dziewczynce z nieba

W głębi wielkiego, starego boru, w malutkim domku żył sobie w dawnych czasach ubogi leśniczy z żoną i małą córeczką. Bieda była u nich tak wielka, że leśniczyzna, tuląc do siebie płaczącą z głodu dziewczynkę, modliła się do Matki Bożej, aby zabrała dziecko do siebie. Nagle ukazała się jej w ogromnej jasności Niebieska Pani i, uśmiechając się dobrotliwie, wyciągnęła do leśniczyny ręce, a zrozpaczona matka złożyła w nie swoją córeczkę.

W niebie było dziewczynce cudownie. Bawiła się i śpiewała z aniołkami; i nigdy nie była głodna.

Pewnego razu wezwała ją Matka Boska do siebie — a dziewczynka miała już wtedy kilkanaście lat — oddała jej trzyznacie kluczy do ręki i rzekła:

— Masz tu klucze od trzynastu pokoi, moje dziecko, do dwunastu wolno ci wchodzić, ale trzynastego, pamiętaj, nie wolno ci otwierać. Wybieram się w daleką podróż i gdy wrócę, oddasz mi te klucze.

Po odejściu Matki Boskiej dziewczynka wraz z aniołkami zwiedzała codziennie jeden pokój. W każdym z nich był jeden z apostołów otoczony aureolą, a aniołkowie i dziewczynka cieszyli się oglądaniem tych wspaniałości.

Trzynastego dnia, gdy już nic nie było do oglądania, zaczęła ją palić ciekawość:

— Co też może być w owym trzynastym pokoju? Aniołki jednak odradzały ciekawej dziewczynce zagładania nawet przez dziurkę od klucza, bo już byłby grzech. Ale dziewczynce paląca ciekawość nie dawała spokoju.

Pewnego razu, gdy aniołki były zajęte w innej stronie nieba, dziewczynka podeszła do zakazanych drzwi, przekreśliła klucz w zamku i pchnęła je.

Zobaczyła osłepiającą jasność, a wśród złotych promieni Trójce Przenajświętszą. Upadła na kolana z łęku i zachwytu i w grzesznej ciekawości wyciągnęła rękę, by dotknąć palcem jednego ze złotych promieni. W jednej chwili cały palec stał się złoty. Przerażona porwała się z klęczek, zatrasnęła drzwi i uciekła. Ale palec pozostał złoty, chociaż dziewczynka tarła go i myła co sił.

Gdy wróciła Matka Boska, zawołała dziewczynkę i zażądała kluczy, przy czym zapytała:

— Czy nie wchodziłaś do trzynastego pokoju?

Dziewczynka przestraszyła się bardzo,

— Nie, nie wchodziłam.

— Naprawdę nie wchodziłaś?

— Nie!

— Powiedz — rzekła Matka Boska po raz trzeci — czy naprawdę nie wchodziłaś?

— Nie!

Ale Matka Boska wskazała na jej ozłocony palec i rzekła:

— Ponieważ przekroczyłaś mój zakaz, a trzykrotnie zaparłaś się tego, nie możesz żyć w niebie!

I w jednej chwili dziewczynka znalazła się na ziemi w głębi dzikiego lasu. Chciała zawołać o pomoc, lecz z przerażeniem spostrzegła, że jest niema. Gdziekolwiek

się ruszyła. kłuty ją osłre kolce leśnych krzewów. Niedaleko tego miejsca stało olbrzymie drzewo, które miało dużą dziuplę. W tej to dziupli zamieszkała dziewczynka. Latem chodziła okryta swymi włosami i żywiła się jagodami, a zimą okrywała się liśćmi, aby nie marznąć. Często myślała o sobie i wtedy gorzkie łzy płynęły po jej bladej twarzy z żalu za utraconym szczęściem.

Pewnego razu młody króliewicz, goniąc za wspaniałym jeleniem zabłądził w lesie i spostrzegł leżącą pod drzewem dziewczynkę. Ze zdumieniem zapytał ją kim jest i skąd się tu wzięła. Ale dziewczynka nie mogła odpowiedzieć, będąc niemą. Była jednak piękna, a taka smutna, że króliewicz wziął ją do zamku, a że była też i dobra, ożenił się z nią i zrobił ją królową.

Po upływie roku młodej królowej urodziło się dziecko. Wówczas zjawiła się jej Matka Boska i spytała:

— Czyś nie wchodziła do trzynastego pokoju?

— Nie!

Wtedy Matka Boska zabrała jej dziecko i znikła, a królowę posądzono o zabójstwo dziecka. Nie mogła się obronić, ponieważ nie mogła mówić.

To samo stało się z drugim dzieckiem, tak samo Matka Boska zabrała je do siebie. Lud nalegał, aby nad królową odprawiono sąd, ale król nie chciał o tym słyszeć. Gdy królowa powiła trzecie dziecko i zaparła się winy przed Matką Bożą, a ta wzięła jej ostatnie dziecko, król zaczął sam podejrzewać królową i postawił ją przed sądem, który skazał ją na śmierć przez spalenie na stosie.

Gdy królowę już przywiązali do pala, zaczęła gorzko żałować popełnionych grzechów, zapragnęła oczyścić swoje sumienie przed śmiercią i pomyślała:

— O, Matko Boska! Wyznaję, że stworzyłam zakazane drzwi!

W tej chwili ukazała się Matka Boska w skrzęcej się jasności, prowadząc troje dzieci królowej.

— Za to, że w ostatniej chwili życia pomyślałaś o skrzesie, zwracam ci szczęście i mowę!

Królowa żyła po tym jeszcze długo ku szczęściu i radości, a po śmierci Matka Boska wzięła ją do siebie, obdarzając ją wiecznym szczęściem,

Józef Ignacy Kraszewski

W ogrodzie swoich dziadków w Komarnowie na Podlasiu, pod wielką jabłonią, siedział kilkunastoletni Józio Kraszewski z książką na kolanach. Zaczytany nie słyszał jak furka skrzygnęła i do ogrodu wpadło kilkoro dzieci z sąsiedztwa.

— Józiu! Józiu! chodź się z nami bawić — wołały już z daleka.

Lecz chłopiec nie słyszał. A gdy dzieci stanąwszy przed nim poczęły go ciągnąć za rękę, odezwał się niecierpliwie unosząc głowę z nad książki.

— Czegoż chcecie ode mnie?

— Chodź się z nami pobawić — powiedział Antos.

— Nie mogę, przecież widzicie, że czytam.

— O, wielkie mi czytanie — zawołała mała siedmioletnia Helenka — rzuć książkę i chodź się z nami bawić, przecież tak pisarzem nie będziesz, tylko pisarze książki czytają.

— A właśnie, że będę! — Józio gwałtownie poderwał się z ławeczki. — Będę pisarzem! Będę książki pisał! Dużo, dużo... W nich krzewić będę miłość wzajemną rodaków, jedność i zgodę. To jest moim marzeniem od dawna!

Dzieci milczały, patrząc na swojego rówieśnika, który mimo woli wzbudzał w nich poszanowanie swoimi słowami, jak wypowiedział z błyskiem zapалу w oczach.

Spełniły się słowa kilkunastoletniego Józia — został wielkim pisarzem polskim. Napisał dużo, dużo książek tak jak o tym marzył. 1000 książek! Tyle że możnaby z nich utworzyć bibliotekę. Z powieści jego najbardziej znaną jest „Chata za wsią“ a z historycznych „Stara Baśń“. Wyrwała jego praca dla narodu odebrała hołd w całym szeregu obchodów 50-letniego jubileuszu jego działalności pisarskiej urządzanych w całej Polsce. Umarł on w Szawarczynie w 1887 r. do końca życia nie wypuściwszy pióra z ręki. Pochowany w grobach zasłużonych w Krakowie na Skalce.

P. G.

Gabriela Klimkówna

Żwierciadełko Mani

Józia już od samego rana cieszyła się na poobiednią ślizgawkę, prosiła nawet mamę, aby wcześniej niż zwykle w niedzielę podano obiad. Jakież było więc jej zmartwienie, gdy już około południa zaczęło się chmurzyć, a w czasie obiadu spadało się na dobre.

— O ślizgawce ani mowy, — zawołał jej brat, Jaś i pogwizdując pobiegł do kolegi.

Józi trudniej było pogodzić się z tą myślą. Zaczęła się do wszystkiego przyczepiać, grymasić:

— To złe, to niedobre. — wyciągnęła długi nos i popłakiwała nawet w kącie. Tatuś tego nie lubi, więc groźnie spojrzał, a mama obawiając się jego gniewu na Józi, starała się temu zaradzić:

— Idź Józinko odwiedzić Manię, pewnie ci się ucieszy, a i ty się rozerwiesz trochę!

— Ładna mi rozrywka siedzieć przy łóżku chorej, — mruknęła Józia pod nosem i brzydko odeła wargi, ale zabrała się i poszła.

Mania ucieszyła się bardzo.

— Jakaś ty dobra, że przyszłaś, dziękuję ci.

Mania już od kilku tygodni z powodu ran w nogach zmuszona do leżenia w łóżku, uśmiechnięta jest mimo to i wesola. Aż się Józia zadziwiła i spytała o powód tej wesołości a Mania odpowiedziała radośnie:

— Wiesz, ja przygotowuję się do pierwszej Komunii świętej. Gdy wstanę, zdam egzamin i, mimo że z wami razem na naukę, chodzić nie mogę, będę przyjęta.

— A czy ci się nigdy nie nudzi, nie przykrzy leżenie? — pyta Józia.

— O, ja mam takie cudowne zwierciadełko, gdy w nie spojrzę, zapominam o bólu moim i o nudach.

— Cóż to za dziwne zwierciadełko? Pokaż mi je!

Mania sięgnęła ręką po leżącą na stoliczku książkę do nabożeństwa i wyjęła obrazek Pana Jezusa dźwigającego krzyż:

— Patrz! Gdy się przyjrzę wizerunkowi Chrystusa, to niczym zdaje mi się to, co ja cierpię i chętnie z Nim i dla Niego cierpieć pragnę.

Zawstydziała się Józia w głębi duszy, że dla tak błahego powodu wpięty grymasiła i postanowiła naśladować dobrą Manię.
P. W.



Mądry pies — obraz K. S. Wysockiego

Ogwiadce: Nowym Roku

Już przeszły święta. Przestaliśmy śpiewać koledy... Ale co to właściwie znaczy koleda? Skąd pochodzi ten wyraz?

Pierwszy dzień każdego miesiąca był nazywany przez starożytnych Rzymian „calendae” (czyta się „kalende”). Dlatego też początek Nowego Roku rozumiano pod tym wyrazem, a obchodzono go wesoło. Stąd nazywano go „festum Calendum”. W średnich wiekach Nowy Rok zaczynał się od 24 grudnia, a ponieważ tradycje klasycznego Rzymu, na których wychowywały się narody europejskie, były duże, wniosły więc one do języka wielu ludów przekształcony wyraz łaciński „calendae”, który wiązał się z obchodem świąt Bożego Narodzenia oraz nazwą darów noworocznych.

Wszedł on w starą francuszczyznę (la Calende), przyjął się w Polsce i na Rusi, gdzie w czasie świąt Kolady posyłano sobie wzajemnie upominki. Usiłują niektórzy wywodzić „kolady” od wyrazów słowiańskich: „ku — ladu”, „kuko — lanom”, nie można tego jednak brać poważnie.

Uroczystość sama, zwana dotąd przez lud polski „Godami”, będąca pożegnaniem starego i powitaniem nowego roku, sięga na ogół czasów pogaństwa i była połączona z mnóstwem pieśni starożytnych, skoro duchowni, aby je lud zapamiętał, ułożyli w minionych wiekach wielką liczbę pastorałek, czyli „kolęd” pobożnych. Pomimo to przechowały się jeszcze niektóre starożytne i piękne pieśni Godom właściwe i one to właśnie były nazywane przez lud „kolędami”. Nazwa „gody” jest bardzo dawno spotykana w języku polskim, „God” po słowiańsku bowiem oznacza rok.

Moment ten, w którym stykają się ze sobą dwa lata, t. j. stary i nowy bardzo słusznie nazwano w liczbie mnogiej „Godami”.

W średnich wiekach obchodzono uroczystość Nowego Roku w dniu Bożego Narodzenia. Polacy zatem powyższą uroczystość chrześcijańską nazwali również „Godami”, którą to nazwę lud polski wszędzie zachowuje. Każda uroczystość, biesiada, nazywa się godami, a każdy jej uczestnik nazywa się gościem. W Polsce, gdv przyszły „Gody”, nie było końca najrozmaitszym powinszowaniom, podarkom, zabawom, przebieraniu się za żydów, cyganów,

niedźwiedzi, kozy, tury, chodzeniu po domach ze śpiewem koled. Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli św.ętowano wieczory, które dotąd lud w wielu okolicach „świętymi” nazywa. Przez całe te wieczory śpiewano koledy o narodzeniu Chrystusa Pana, proste, a bardzo piękne. Chodzono z szopką czyli jasełkami, z „gwiazdką” itd. Dotąd jeszcze w wielu stronach młodzież przebrana za Heroda, jego hetmana, żołnierzy, śmierć i diabła, przedstawia sceny z Pisma Świętego.

A teraz coś jeszcze o opłatkach. Zwyczaj dzielenia się opłatkiem istniejący w Polsce już w wieku XV a może i dawniej, wytworzył konieczność powstania specjalnego przemysłu artystycznego. „Przemysłu opłatkowego”, który sięga wieku XVI. W wieku XVI sporządzono przedmiot, służący do wyrobu opłatków, rodzaj szczypiec żelaznych, składających się z dwóch ramion, kształtu prostokątnego, na które leże się praśne ciasto pszeniczne. Jedno ramię było artystycznie wycyrklowane i odbijało na opłatkach wyryty na szczypcach wzór. Wzory te, przeważnie przez domorodnych artystów wymyślone, miały za temat sceny z Ewangelii, z Bożym Narodzeniem związane, krzyże, serca gorejące lub monogramy Pana Jezusa i Matki Boskiej. — Najoryginalniejsze i najstaranniej wykonane szczypce dał wiek XVI, również i XVII; wiek XVIII XIX i XX nie wydał nic nowego w tej dziedzinie. Już w wieku XVIII sprowadzono do kościola Mariackiego w Krakowie szczypce od wiedeńskiego bronzownika; widocznie w Polsce przemysł ten zaczął upadać.

Stanisław Sawicki

Zima

Drzewa w cudną ubrane koronkę,
w pajęczynkę szarą i liliową,
białym puchem już śnieg pokrył łąkę
i spowiął ziemię w mgłę tęczową.
Niebo czyste iskrzy się gwiazdami,
cicha ziemia w niebiosy wpatrzona;
srebrzystymi pokryta jest łzami,
kornie w hołdzie przed Bogiem
schylona.

Halina Słońska

Wigilia w okopach

Było to w okresie krwawych walk o polskość Ziemi Czerwieńskiej, kiedy rozpadająca się monarchia austro-węgierska ostatnim jeszcze wysiłkiem starała się zniszczyć Polskę, rzucając na Lwów oddziały wojsk ukraińskich.

Lwi gród, „zawsze wierny” Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, krwią najlepszych swych synów udowodnił, że jest z krwi i ducha polski.

Po trzytygodniowych, morderczych walkach nadszedł dzień, gdy:

„Lśniący mroźną bielą
Rankiem zbudził się Lwów
Wolny z powrotem.

— — — — —
A tam pod Cytadłą
Leżeli chłopcy pokodem
Prości i biali”.

(wiersz Maryli Wolskiej).

Jednak nie był to koniec wojny polsko-ukraińskiej. Jeszcze długie miesiące musiały krwawić się orleńskie Lwowskie.

11-letni harcerz Janek Stolarczyk był zrozpaczony, że nie mógł dostać się z kabinem w rękę na żaden z lwowskich odcinków walk ani na „górze stracenia”, ani na Cytadłę, czy na Zamarstynów. Od razu przeznaczono go, gdy zgłosił się w dniu wybuchu walk, do służby łącznika. Nosił więc rozkazy, przynosił informacje z miasta, a raz nawet sam komendant Mączynski kazał mu iść „rozpoznać”, jakie kamienice obsadzili Ukraińcy na ul. Żółkiewskiej.

Po oswojeniu Lwowa nie chciał Janek wracać do domu. Wytrwał na posterunku za wszelką cenę to było jego święte ślubowanie. Na front nie mógł się dostać. Pracował więc w sanitarce, przygotowywał szarpie, pomagał w szpitalach lwowskich, czuwając przy rannych.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Przygotowywano Wigilię dla żołnierzy, zbierano ofiary, mamusi młodych żołnierzyków lwowskich przynosiły paczki dla swoich synów, walczących na froncie.

Janek żył jak w gorączce. Wydawało mu się to hańbą, że on zostaje na święta wygodnie, w zacisnym domu, podczas gdy

jego starsi koledzy będą musieli spędzić wigilię na mrozie, w pierwszej linii walk. Ta myśl nie dawała mu spokoju, chciał koniecznie udowodnić, że i on — choć mały i waty — umie poświęcić się dla sprawy. Wreszcie zdecydował się na pewien plan. Nikomu nie mówił o swoim postanowieniu. Nie zostawał już teraz tak długo jak dawniej w szpitalu, czy „sanitarce”. Wcześniej wracał do domu, spotykał się często ze swymi kolegami.

Wszyscy myśleli, że Janek nie ma już sił do pracy. Zresztą i tak nikt się nie dziwił, bo przecież „ten mały chłopak pełnił służbę nad siły” — jak mówił doktor, przełożony służbowy Janka. A Janek tymczasem zebrał swoich przyjaciół i w tajemnicy wyjął im swój plan. Postanowił na wigilię pojechać na front. Zawięź żołnierzom podarunki i pozdrowienia od lwowskich dzieci. Niech wiedzą polscy żołnierze, że lwowscy chłopcy myślą o nich i gotowi są nieść im pomoc, gdy przyjdzie potrzeba.

Plan Janka był prosty. Miał wyjechać autem sanitarnym, które wiozło na front paczki dla żołnierzy. Jako harcerz-sanitariusz łatwo się „przeszwarcuje”, a potem niech go próbują wyrzucić... Koledzy mieli pomóc Jankowi w zbieraniu darów. U mówili się, że w dniu wigilijnym przed południem wszyscy przyjdą do „sanitarki”, skąd będzie wyruszać auto. Janek kaładuje paczki na samochód — no i jazda na front.

Wreszcie nadszedł dzień wigilijny. Janek od wczesnego rana był już przy aucie sanitarnym. Ładował paczki, pomagał szoferowi przy pompowaniu „kichy”, chciał być wszędzie, żeby wiedziano, że i on należy do załogi auta. Nadeszła wreszcie godzina wyjazdu. Na aucie wyrosła góra paczek co najmniej do pierwszego piętra. Wszyscy zajęli miejsca, Janek usiadł na budce szofera z gorliwością pełniąc ładunku. Serce biło mu mocno. Bał się, żeby kto ze starszych nie zapytał „dokąd i po co jedzie ten mały”. Na szczęście wszyscy myśleli, że Janek chce tylko „kawalek podjechać”, a z budki

szoferskiej nie było widać, że ktoś siedzi na jej dachu.

Auto ruszyło „pełnym gazem“! Szoferowi śpieszyło się, żeby jak najprędzej zawieść dary od Lwowa polskim żołnierzom. Pomimo podniecenia Janek okropnie zmarzył na swym „posterunku“. Wreszcie jednak, gdy mijał domy jakiejś wioski — ze swego wysokiego miejsca ujrzał skosnie idące przez rolę rowy strzeleckie i równocześnie prawie zza domów wysunęło się kilku żołnierzy, którzy kazali zatrzymać auto. — Był to najbardziej wysunięty frontowy posterunek polski. Tutaj auto stało i stąd trzeba było nosić paczki rowem strzeleckim aż do okopów.

Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie. Janek obiecał kolegom, że własnoręcznie dostarczy żołnierzom wszystkie ich paczki. Toteż, gdy żołnierze chcieli zabierać „jego paczki“, energicznie protestował. Kierownik punktu zaopatrzenia zaczął się od razu wypytywać Janka skąd się dostał, kto go tu przysłał; Janek musiał przyznać się do wszystkiego.

Pan porucznik krzyczał na Janka bardzo groźnie, ale widać naprawdę nie bardzo się gniewał, gdyż nie tylko pozwolił Jankowi wziąć „jego“ paczki, ale sam mu pomógł nieść, bo Janek nie mógł wszystkiego udźwignąć.

Głębokim rowem dostał się Janek do okopu. — Tu musiał się zameldować kapitanowi dowódcy odcinku. Prężąc się na baczność, drżącym ze wzruszenia głosem meldował, „że przyniósł od polskich dzieci ze Lwowa pozdrowienia i przysięgę, że gotowi są służyć Polsce“.

Kapitanowi dziwnie drgały powieki, gdy słuchał meldunku Janka, ale spokojnym głosem kazał mu wziąć worek i idąc okopem rozdawać dary wigilijne każdemu z żołnierzy stojących na posterunku.

Na froncie była cisza. Daleko gdzieś tylko padały pojedyncze strzały: Janek z bijącym sercem — szedł razem z kapitanem od żołnierza, rozdając paczki. Był tak wzruszony, że nie mógł mówić, musiał z całych sił zaciskać zęby, żeby się nie rozplakać jak „małe dziecko“.

Tylko dziwił się, czemu wielu z tych żołnierzy, którzy bili się jak lwy, ocierało oczy kufakiem.

Paczek starczyło dla wszystkich na odcinku. A potem pan kapitan zabrał Janka do ziemianki gdzie stała choinka — ozdobiona tylko białą paczką opłatków, zamiast gwiazdy. Kapitan łamał się z wszystkimi opłatkiem — nikt nie składał zwykłych życzeń — padło tylko jedno słowo „Zwycięzimy“. Potem kapitan za-

intonował kolędę. Po chwili na całej linii okopów rozległ się głośny śpiew „Bóg się rodzi“ . . .

Złowrogi huk strzałów i świst kul przerwał śpiew. Rozpoczęła się codzienna „rozmowa okopów“.

Janka odstawiono do samochodu. Miał wracać do Lwowa. Kapitan rzucił mu tylko te słowa: „Powiedz we Lwowie, że „Zwycięzimy““.

Janek wracał do domu, myśląc tylko o jednym: „Zwycięzimy“.

Pociąg w nocy

Kiedy pociąg jedzie nocą,
dziwnie koła mu stukają,
wokół świat zaczarowany,
w srebrnym blasku wykąpany
chowa się, dziwi się —
a tu pociąg mknie i mknie.
Jak to dziwnie jechać nocą,
gwiazdy się na niebie złocą
i mruganiem dają znak,
gdzie ma pociąg mknąć i jak.
Sunie, sunie, w nocnej porze,
ślizga się po srebrnym torze,
w pustkę nocną leci w skok.
To nie pociąg, ale smok.
Okna — to jest tysiąc oczu,
iskry złocą się w warkoczu.
Stuk, stuk, stuk, stuk, stuk, stuk,
sunie pociąg setką nóg.
Naraz czegoś się przełęknie,
zahamuje w biegu, stęknie,
zakolysze się na strony.
Złakł latarni się czerwonej.
Tak, tak, tak, tak, tak, tak,
ta latarnia to zły znak,
trzeba się latarni bać,
trzeba czekać, trzeba stać,
a gdy zniknie, a gdy zgaśnie,
to już wolna droga właśnie.
Pędzi pociąg ile sił,
drzewa szepczą.. kto to był?..
Przyłóż uszko do poduszki,
oczka zmruż, wyciągnij nóżki
i kół suchaj tyktakania,
gadania, opowiadania.
A nie bójcie się nic dzieci,
pociąg dobrze wie, gdzie leci,
nie mu się nie stanie złego,
leśne ludki go ostrzegają.
Leśne ludki tor naprawią,
drogę skrócą, most ustawią.
Leśne ludki dadzą znak..
Tak, tak, tak, tak, tak, tak.
Oczka do snu wam się kleją.
...Dobrze jechać w świat koleją.

Janina Kunicka

Balony i sterowce

Pierwszymi przyrządami, na których człowiek unosił się w powietrze, były balony.

W roku 1709, w dniu 8 sierpnia, po raz pierwszy w dziejach świata unosił się człowiek w powietrze na niezdanym przyrządzie, który był niejako poprzednikiem balonów. Człowiekiem tym był portugalski zakonnik, jezuita Bartolomeo Laurenço de Gusmao. Zbudował on przyrząd, który był koszem, wypieczionym z łożyny, oklejak go szczelnie papierem i, wypełnwszy nad ogniskiem gorącym powietrzem, unosił się na nim w obecności królewskiego dworu oraz wielkiego tłumu widzów na wysokość 200 metrów. Próby tej śmiałek omal nie przyplacił życiem.

Przez długi jeszcze czas liczni uczeni i wynalazcy usiłowali wynaleźć przyrządy do latania, dopiero jednak dwaj Francuzi, bracia Mongolfierowie z Annónay osiągnęli pomyślnie rezultaty. W roku 1782 zbudowali oni pierwszy balon, który został puszczony w roku następnym. Balon ten, mający blisko 12 metrów średnicy, napełniony był rozgrzanym powietrzem, wytwarzanym przez płonące ognisko, umieszczone pod znajdującym się u dołu otworem. Pomimo iż ważył on kilkaset kilogramów, unosił się swobodnie w powietrze na wysokości 300 metrów, poczem opadł na ziemię.

W tymże roku, we wrześniu, z dziedzińca pałacu Wersalskiego wzbił się w przestworze inny balon Mongolfierów, unosząc w koszu, zawieszonym pod nim, owcę, geś i koguta. W parę miesięcy po tym na balonach Mongolfierów próbowali już latać ludzie. Balony, napełniane rozgrzanym powietrzem, robione były z podklejonego papierem płótna i miały kształt nieco wydłużony. Nosiły one nazwę „Mongolfierów”.

W roku 1788 fizyk francuski Charles wynalazł inne balony, które napełniał gazem lżejszym od powietrza — wodorem. Na balonie takim w grudniu unosił się on w powietrze do wysokości 3400 metrów. Balony, napełniane wodorem, nosiły odtąd miano „Charliesów” („Szarliczów”). Miały one kształt kulisty i były wykonane ze specjalnej tkaniny. Pomimo ciągle wprowadzanych ulepszeń, szarliczy oka-

zały się z wielu względów niepraktyczne. Były one bardzo kosztowne i łatwopalne, a wodór ulatniał się z nich przez niezbyt szczelną powłokę.

Pragnąc wykorzystać zalety zarówno mongolfierów jak i szarliczów, współczesny wynalazcom obu tych typów Pilâtre de Rozier zbudował inny rodzaj balonu. Próbę tę przyplacił własnym życiem, wodór bowiem jest gazem łatwopalnym i spowodował pożar balonu.

Na początku XIX wieku fizyk angielski Green użył po raz pierwszy do napełniania balonów gazu świetlnego, który jest znacznie lżejszy od powietrza. Na balonach swych, zwanych „Grenierami”, odbył Green szereg lotów.

Próby lotów na balonach dokonywane były w różnych krajach Europy już w końcu wieku XVIII. W Polsce pierwszy lot na balonie odbył w Warszawie w roku 1788 Francuz Blanchard w towarzystwie Jana Potockiego.

Od czasu wynalezienia pierwszych balonów upłynęło już sto kilkadziesiąt lat. Nic więc dziwnego, że dzisiejsze balony są zupełnie odmienne od tych najdawniejszych. Stopniowo ulepszone i udoskonalane, znalazły one różne zastosowanie, zarówno w nauce, jak i do celów sportowych, turystycznych, komunikacyjnych i wojskowych. Do badań naukowych wyższych warstw powietrza używane są tak zwane „balony sądzące”. Unoszą się one bez ludzi niejednokrotnie na wysokość, przewyższającą 20, a nawet 30 tysięcy metrów. Liczne przyrządy, umieszczone w koszu, zawieszonym pod balonem, same zapisują różne spostrzeżenia naukowe.

Najwyższą wysokość, osiągniętą na balonie przez człowieka, wynosi 13.900 metrów. Niestety, lotnik, który tego lotu dokonał, kapitan Gray, poniósł podczas tej wyprawy śmierć.

Balony oddały również ludziom duże usługi podczas wojen, zwłaszcza w wojnie francusko-pruskiej w roku 1871. Obecnie używane są w wojsku głównie balony obserwacyjne i tak zwane zaporo-we, chroniące przed atakami lotniczymi nieprzyjaciela.

Na ogół rozróżniamy balony wolne i balony na uwięzi. Balony napełniane są

obecnie wodorem gazem świetlnym, helem i innymi gazami. Lżejszymi od powietrza.

Powłoka balonów robiona jest obecnie przeważnie z materii bawełnianej, przepojonej różnymi środkami, chroniącymi przed ulatnianiem się gazów. Balony mają kształty różne, zależne od przeznaczenia, najczęściej są kuliste lub wydłużone.

Ponieważ balony zdawane były na laskę i niełaskę wiatrów, które unosiły je nieraz w kierunku wręcz przeciwnym od zamierzonego, liczni lotnicy pracowali nad tym, by je od wiatrów niezależnić. W latach 1854 i 1855 Henryk Giffard próbował zastosować do szybszego poruszania balonu specjalną śrubę powietrzną, obracaną przez lekki motor parowy. Jednocześnie dla sterowania okrętem powietrznym zastosował on trójkątny żagiel.

Inni lotnicy stopniowo udoskonalali w balonach sposób poruszania i sterowania. Na szczególne wyróżnienie zasłużyli tu Brazylijczyk Santos Dumont, major Parseval i pruski generał hrabia Zeppelin.

Dzięki nim powstały tak zwane sterowce, czyli balony, poruszane motorem i zapatrzone w stery.

Obecnie rozróżniane są trzy rodzaje sterowców: sztywne, półsztywne i miękkie. Sterowce miękkie nie posiadają szkieletu. Sterowce półsztywne tym jedy-

nie różnią się od miękkich, że gondole i silniki ich zawieszono są na sztywnej belce, umieszczonej pod sterowcem. Sterowce sztywne posiadają szkielety, budowane z lekkich metali, przeważnie z duraluminium.

W budowie sterowców do najlepszych wyników doszły obecnie Niemcy i Anglia. W Niemczech najwcześniej poczęto odcinać należycie rolę, jaką mogą odegrać w lotnictwie sterowce. Największe zasługi w pracy nad rozwojem sterowców w Niemczech posiada bezsprzecznie hrabia Zeppelin. Od trzydziestu już lat oddał on bezinteresownie na ten cel swą pracę i cały swój majątek. Praca ta jednak dała już olbrzymie rezultaty. Pierwszy sterowiec, noszący nazwę „Zeppelina“, posiadał silnik o mocy równej 30 koniom i poruszał się z szybkością 28 kilometrów na godzinę. Lot jego nie mógł trwać dłużej niż 17 minut. Sterowiec, LZ — 127, znany pod nazwą „Graff Zeppelin“, rozwija szybkość do 148 km na godz., a czas trwania lotu sięga 118 godzin.

Podczas wojny światowej „Zeppeliny“ niemieckie odegrały dużą rolę, urządzając przeszło tysiąc napadów nocnych na Paryż, Londyn i inne miasta nieprzyjacielskie i zasypując je straszными bombami.

Kazimierz Grudziński



W gondoli balonu polskiego